

Teresa Prażmowska



Czego zapomniała



Teresa Prażmowska

Czego zapomniała?



Fundacja FESTINA LENTE

Idealne to było małżeństwo: najzgodniejsza w świecie spółka i sakramentalny dusz związek.

On był rozumny i myślący; ona o tyle wykształcona, że za lotem myśli męskiej podążyć mogła. On czuł się społeczeństwa swego członkiem; ona rozumiała, że towarzyszką i pomocnicą być mężowi powinna. Ona — nie będąc Beatrycze — umiała wszakże w razie potrzeby oderwać się od „kuchni życia”; on nie uważał jej za lalkę ani za westalkę, nad kuchennym ogniem czuwać obowiązana. Ona kochała wszystko, co on miłował; on też nieobojętnym był dla niczego, w czym ona upodobanie miała... Cele, nadzieje, poglądy i pragnienia, w umyśle męża powstałe, w sercu żony odbite, stawały im się wspólne przez miłość, z każdym dniem silniejszą i trwalszą, bo na tej wspólności opartą.

On, pan Leon Krzycki, „Lewkiem” przez żonę zwany, wykwalifikowany technik, a razem współnik jednej z większych fabryk warszawskich, duże miał dochody; ona, pieśczeniwiwie „Myszka” z Michaliny przechrzczona, posażna sierota, na opiece dalekich

krewnych pozostająca, wniosła mu znaczne wiano, i wzorową będąc gospożą, tak domem rządzić umiała, że było tam, wedle słów poety:

„W dzień wesoło, w noc rześisto,
Biało, gładko, potoczysto.
Wszystko w czasie urządzone...”

Płynęło im więc życie niezachmurzone niczym, nawet brakiem „milusińskich”, bo jakkolwiek po kilku latach pożycia bezdzietni, nie pragnęli jednak mieć dzieci. Była chwila, w której zdawało się, że brak ten czują... Teraz przecie, wyrzekłszy się nadziei nieznanych dotąd rozkoszy rodzicielstwa, kochali się wzajemnie tym silniejszą, że niepodzielaną z nikim miłością.

Przywykli też wystarczać sami sobie, z niewielkim, bardzo niewielkim dodatkiem pozadomowych rozrywek i przyjemności towarzyskich, do których pani Myszka mniej jeszcze od męża okazywała ochoty.

Pan Leon wzorowym był małżonkiem: najszczęśliwszym się czuł w domu i nie nudził się w towarzystwie żony; lubił jednak czasami „zabawić się”, jak mu to z leciutkim przekąsem wyrzucała żona, uczynioną wymówkę słodząc natychmiast pocałunkiem...

Od czasu do czasu, wróciwszy z fabryki, wypocząwszy po pracy i po smacznym obiedzie, porozmawiawszy z żoną o wszystkim, co zająć ją i materiału do myślenia dostarczyć jej mogło, pan Leon z

kanapki, na której przytuleni do siebie siadywali oboje, z akcentem szczerego żalu oświadczał:

— Myszko najdroższa, nie będę w domu wieczorem.

— Jak to! Znowu wychodzisz? — z bolesnym przerażeniem wołała Myszkka.

— O, „znowu”! — przedrzeźniał ją mąż, pocałunkiem zamykając usta. — Myślałby kto, że mnie nigdy w domu nie ma. Z tydzień już nie wychodziłem...

— Prawda! Już pięć dni, jak wychodziłeś po raz ostatni... Przepraszam cię za moje znowu... Dokąd idziesz?

— Obiecałem się na karty... Pozwoli żonusia?

— Musi pozwolić...

Rozmowy tej treści powtarzały się mniej więcej co tydzień i zawsze zgodnie pocałunkiem się kończyły.

Pan Leon wychodził, ociągając się i złorzecząc zobowiązaniom towarzyskim, a wróciwszy o umiarkowanie późnej godzinie, zastawał nieśpiącą jeszcze żonę, która z książką w ręku lub przy fortepianie powrotu jego oczekując, witała go tak radosnym wykrzyknikiem, jakby przynajmniej od pół roku nie widziała ukochanego Lewka.

Czasami inna znowu przyczyna zmuszała ich do rozstania się na dłuższy niż zwykle przeciąg czasu. Z fabryki, w której zazwyczaj do godziny czwartej przesiadywał, przysyłał pan Leon żonie posłańca z karteczką:

„Nie czekaj na mnie z obiadem, najdroższa! Mam dziś nawał zajęcia i do jakiej szóstej pozostać tu muszę.

O dwie godziny później niż zwykle uścisknę skarb mój jedyny...”

Odebrawszy takie lub tym podobne wyrazy, Myszka siadała do stołu z bardzo smutną miną, zostawiając, ma się rozumieć, najlepsze kaski dla męża i natychmiast po obiedzie szła dysponować kucharce jakiś dodatkowy przysmak, mający wynagrodzić zgłodniałemu pracownikowi przestały i odgrzewany obiad. Potem co chwila wyglądała przez okno lub patrzyła na zegar (zawsze wtedy w posądzeniu go mając, że spóźnieniu ulega), a gdy już zbliżała się godzina osiemnasta, czatowała na odgłos dzwonka i sama zwykle drzwi otwierając mężowi, tuliła się do jego piersi z niemą, a gorącą wdzięcznością kobiety, która wielkość ponoszonych dla niej poświęceń rozumie i miłością bez granic za nie płaci... Ów nadmiar pracy, którym się Lewek obarczał po to jedynie, by móc każdemu jej życzeniu dogodzić, każde pragnienie uprzedzić, by coraz większym otaczać ją zbytkiem, rozrzewniał ją do łez prawie i wdzięcznym uwielbieniem przejmował.

Kosztowne podarunki, jakimi ją mąż często obdarzał, ceniła pani Myszka jak relikwie; przedstawiały one dla niej nie taką to a taką sumę pieniędzy, ale stokroć większą wartość: sumę pracy jej Lewka, który – przysięgłaby na to bez wahania – dla niej tylko żył jednej, o niej tylko jednej myślał i mając w niej żonę, kochankę, przyjaciółkę i towarzyszkę, w niej cały swój świat widział.

Że on także dla niej całym był światem, o tym nie wątpił pan Leon ani na chwilę, raz dlatego, że wątpić nie miał powodu, bo tak było w istocie, a po wtóre, że... mężczyznom rzadko zbywa na tym szczęściu, którego podstawą wysokie o własnej wartości mniemanie.

Krótko mówiąc, wzorowe to było pożycie i najszcześliwsze pod słońcem małżeństwo.

W pewne wiosenne popołudnie pan Leon wcześniej niż zwykle powrócił z fabryki do domu. Błady był, spojrzenie miał zamglone, usta gorące, uskarżał się na ból głowy...

— Głowa mi nieznośnie ciąży — uspakajał strwożoną Myszkę, kładąc się w swoim pokoju na szezlongu. — Potrzebuję przespać się trochę. Nad wieczorem podniosę się zupełnie zdrów i skorzystamy z tej kwietniowej pogody, żeby się po Łazienkach przejechać.

Nie do Łazienek wszakże pojechał...

Z mającego trwać parę godzin bólu głowy wywiązało się zapalenie mózgu, pan Leon chorował z tydzień i skończył nie odzyskawszy przytomności, którą w pierwszych chwilach choroby utracił, nie pożegnawszy żony, która skamieniała prawie z bólu, bez łez, bez głosu, szeroko otwartymi oczyma na konanie męża patrzyła...

Bez łez też i bez głosu obecną była całemu obrzędowi pogrzebu, tylko gdy trumnę do grobu spuszczać już miano, ona — dotychczas jakby niepojmująca co się z nią dzieje — teraz wzrok rozpaczliwie przelekkły w trumnę utkwiała i głośno

jękąwszy: „Lewku, nie ma cię, szczęście moje!” – bez zmysłów na ziemię upadła.

Przyszła jednak do siebie niedługo, a że silne z natury miała zdrowie, przebytych więc wzruszeń nie przyplącała chorobą i ani na chwilę nawet pocieszać się nie mogła nadzieją, że siły jej fizyczne nie podołają ogromowi boleści, która dzień i noc w sercu nurtując, życiu jej prędko koniec położy. Nie, na boleść dość miała siły... choć nie boleść, ale rozpacz to była! Milcząca, głucha, ani nadzieją mogącego przyjść z czasem zapomnienia, ani wiarą w połączenie pozagrobowe niepocieszona, rozpacz poganki, która nie zna co rezygnacja, i kobiety, która z ukochanym wszystko swoje straciła. Ani dziecka, ani rodziny, ani obowiązków, ani pracy, która by życia była celem, ani celu, który by życia stał się miłością — nic! Mąż dla niej był wszystkim: gdy go zabrakło, nie wiedziała po prostu, co by zrobić z długą jeszcze zapewne resztą życia. Natura biernie podatna, jak bluszcz na podporze tylko nad poziom wzbić się zdolna, jak echo dźwięcznie nieswoimi głosy dzwoniąca, za mało miała samodzielności, by ze szczątków czary, wczoraj szczęściem kipiącej po brzegi, dziś na kawałeczki strzaskanej, skleić znowu tych samych kształtów czarę i znowu powoli, a z mozołem wypełniać ją treścią życia...

Ach, ale inną zupełnie już treścią, i — jeżeli szczęściem — to także zupełnie już innym... Szczęściem przecie zowie się także działalność pożyteczna, zasługa czynu zacnego i trud ofiarny i praca w bratniej miłości podjęta... Wszystko to szczęściem dla

myślącej istoty ludzkiej! Zapewne, ale cóż z tego, kiedy dla kobiety stratę ukochanego oplakującej, wszystko to najzupełniej jest obojętnym!

— Lewku, nie ma cię, szczęście moje! — łkało w piersi Michaliny, która też na wszystko obojętną teraz się stała. Nie było komu nazywać ją „Myszką”, nie było też warto dbać o cokolwiek na świecie. Ulubiona dawniej muzyka, starannie pielęgnowane kwiaty, dom z wzorową czystością, z wytworną elegancją utrzymywany, wszystko zostało zaniedbane.

„Nie ma cię, Lewku, szczęście moje!”...

Dnie całe prawie spędzała teraz Michalina na Powązkach, dokąd co rano jeździła stroić kwiatami grób męża; wozila tam po kolei pęki bzów białych, z których sypał się deszcz wonnych, bladozielonawych perełek nierozwiniętego jeszcze kwiecica i narcyzów, co z aksamitnej bieli złotą patrzą żrenicą i róż delikatnie zarumienionych lub purpurowych ogniście.

Gdy w kirze wdowiej żałoby, barw tęczą i obłokiem woni otoczona jechała przez miasto z oczyma pełnymi łez, które słońce wiosenne zwolna z policzków jej spijało, mogła była z tylu poetami i nie-poetami powtórzyć rzucaną przez nich skargę na tę niewzruszoną, bezlitosną obojętność, z jaką życiem i kwiatami sypie przyroda na serc mogiły.

Nie myślała jednak o podobnych zestawieniach i w ogóle nie myślała nic wcale, żyjąc z dnia na dzień w martwym osłupieniu rozpaczy.

„Nie ma cię, Lewku, szczęście moje!”

Tak upłynęło jej lato i większa część jesieni.

Zbliżył się Dzień Zaduszny... Michalina, chcąc uczcić święto umarłych, na tydzień już przedtem wybierała się pojechać do ogrodnika, z którym miała umówić przybranie na ten dzień grobu męża. Chciała mieć cyfry z kwiatów uwite i wieńce kwiatami przetykane i kamienny krzyż pomnika opleść świeżą zielenią, symbolem tej niezwiędłej miłości, którą dla zmarłego żywiła i wyiskrzyć go lampek płomieniami, jak niewygasłego żalu świadectwem.

Kobietom — gdy kochają — marzy się tak czasem pozagrobowa serc spójnia i za grób przedłużone gorących uczuć rozkwitanie!

Gdy jednak nadszedł dzień przeznaczony na wycieczkę, szkaradna słota jesienna zatrzymała Michalinę w domu... Zdarzyło się to pierwszy raz od śmierci męża, toteż po prostu nie wiedziała co zrobić z czasem. Umysł jej odwykł od książki, ręce od roboty, a długie godziny poranne wlokły się leniwie przy monotonnym plusku ściekającego z rynien deszczu.

— Może później rozpogodzi się trochę — myślała, od czasu do czasu rzucając okiem na mętne od rosy szyby — zdążę jeszcze pojechać!...

Dzień jednak zbliżał się ku schyłkowi, a słota nie ustawała wcale...

Zazwyczaj po kilku godzinach na cmentarzu pod gołym niebem spędzonych, Michalina odurzona powietrzem, kładła się wcześniej i natychmiast usypiała twardym snem istot moralnie znękanych, a ciałem silnych i zdrowych.

Dziś jednak cały dzień beczynnie, w zamknięciu spędziwszy, uczuła nad wieczorem potrzebę jakiegoś zajęcia i ruchu.

Machinalnie więc błdzić zaczęła po pokojach... Obszerne mieszkanie wiało pustką i smętnym chłodem ścian, o które nie obijają się wesoło brzmiące głosy ludzkie, a wytworne sprzęty i kosztowne drobiazgi gustem pana Leona wybierane, przestały już być rozrywką dla oka przywykłego w łzach tonąć lub się w darni cmentarnej zatapiać...

„Nie ma cię, Lewku, szczęście moje!”

Gabinet pana Leona, niewielkim pokoikiem od sypialni żony oddzielony, stał od śmierci jego zamknięty. Wdowa klucz nosiła zawsze przy sobie, nie pozwalając wejść tam nikomu i własnymi rękoma sprzątajac pokój od czasu do czasu. Każdy przedmiot na zwykłym stawiała miejscu, jakby chciała sobie zapewnić przelotną choć chwilę złudzenia, że i w życiu jej wszystko pozostało po dawnemu.

Pan Leon bardzo systematyczny i porządny, systematycznie też w biurku swoim uporządkowane miał papiery.

— Co światu i prawu — mawiał żartobliwie — po prawej, co sercu — po lewej...

Po prawej też stronie znajdujące się szuflady otwierano po śmierci jego, szukając papierów, które się interesów tyczyły; szuflad z lewej strony nie tknął nikt jeszcze, nawet żona, która dotąd nie miała na to odwagi.

Wiedziała, że tam znajdzie korespondencję swoją z mężem, przedślubną i późniejszą, osobiste jego notatki

oraz rachunki dla niej poniesionych wydatków; wiedziała, że z marnych tych świstków odtworzyć sobie zdoła całą przeszłość ich pożycia, tak wspólną, tak zespoloną ściśle! I... lękała się tego zmartwychpowstania przeszłości, jak lęka się chory dotknięcia bolesnej rany.

Teraz wszakże sądziła, że mężniejszą być potrafi, a nawet przyszło jej na myśl, że tym przejrzaniem pamiątek Leona powetuje niejako zmarłemu to, co zwala dzisiejszym o nim zapomnieniem.

I jedną po drugiej otwierać zaczęła szuflady, przeglądając, co się w nich znajdowało. W pierwszej zapasy materiałów piśmiennych, czyste jeszcze notatniki, książki rachunkowe, papiery z firmą fabryki i listowe z monogramami; w drugiej pokwitowane rachunki magazynów, rejestry domowe, cała buchalteria prywatna, cały spis wydatków po większej części na żonę, przez żonę, dla żony ponoszonych... Tak! Same te cyfry najwymowniejszy stanowiły dowód, że wszystkim dla Leona była Myszka jego najdroższa.

W trzeciej dopiero szufladzie korespondencja prywatna... Spora płócienna koperta nosi napis „Listy kolegów” — tę Michalina na bok odkłada. Przejrzy ją kiedyś później; teraz jednak drżącą ze wzruszenia ręką bierze kopertę drugą, którą pokazywał jej kiedyś Leon, mówiąc, że tu listy od niej chowa. Dawno to było... już z pięć lat temu. Ona, figlarna wtedy i swawolnica, porwała ołówek i na szarym płótnie koperty wielkimi literami skreśliła szafirowo zabarwiony napis: „Serdeczne arcana JMP. Lewka, mnie wielce miłego

Pana i Dobrodzieja”. To ta sama! Napis zatarł się trochę, koperta pełniejsza niż była, ale ta sama — niewątpliwie...

Porządkiem dat poukładane leżą tu liściki narzeczonej... Przez pierwsze półtora roku po ślubie nie rozłączali się wcale, nie ma więc listów z tej epoki. Potem w interesie fabryki jechać musiał pan Leon do Wiednia, gdzie bawił parę miesięcy, podczas gdy ona, nieziszczoną nadzieją macierzyństwa zatrzymana wtedy w domu, pisywała do niego listy namiętnej tęsknoty pełne...

Miała je teraz przed oczyma: skargi na konieczność, która żonę — „taką zonusię bez męża żyć nieumiejąca” — rozłącza z mężem na nieskończenie długie miesiące, skargi na samotność, podczas której dzień za dniem tak wolno upływa, skargi na lekarzy, że jej w podróż wyruszyć nie pozwalają, skargi na stan jej, który „jeszcze pociechy jej nie przyniósł, a już takiego zmartwienia stał się powodem”, a obok skarg wyrazy najtkliwszych pieszczot i najgorętszych uniesień miłosnych.

Listy to były kochanki — nie żony... pamiętała, co mąż odpisywał jej na nie... On chciał w niej mieć przezacną „połowicę”, chciał przelać w żonę dążenia swoje i pojęcia, i w matce swego dziecka chciał mieć duszę duszy swojej... Odzywał się więc do niej serdecznym ale poważnym słowem, pocieszał stęsknioną miłości zapewnieniami i przyszłych rozkoszy macierzyństwa obietnicą. Zrozumiała go i jak zawsze przyznała mu słuszność zupełną.

Pan Leon powrócił z Wiednia. Nadzieje młodych małżonków zawiedzionemu zostały, cierpieli nad tym oboje, ale nie ucierpiała ich miłość. Ucierpiało tylko zdrowie pani Michaliny zachwiane przebytą chorobą i źle oddziaływało na jej usposobienie. Rozczarowana, z musu zupełnie beczynna, tą beczynnością znudzona, nudziła też po trosze i męża, nie puszczając go ani na chwilę od siebie. Z rozrzewnieniem przypomina sobie teraz, jak cierpliwie nieodstępny był dla niej towarzyszem, jak pobłazał jej grymasom, spokojnie zadość czynił nierozsądnym nieraz wymaganiom, jak słodko był przy tym o nią troskliwym, jak delikatnie — panowaniem nad sobą — nad nią też zapanować potrafił.

— Nie ma cię, Lewku, szczęście moje! — z gorzkim jękniętą żalem, o szczęścia tylko utracie myśląc i na nią się tylko skarżąc.

W ciągłym prawie niezdrowiu upłynął jej rok cały, po czym na dłuższy czas wyjechała za granicę. Leczyła się w Franzensbadzie, kąpała się w Biarritz, jadła winogrona w Meran. Nie było jej w domu z pięć miesięcy, ale wróciła ze wzmocnionymi nerwami i odzyskanym zdrowiem, które odtąd wiernie jej służyło.

Przerzucając listy z podróży pisane, widzi Michalina, iż w miarę powrotu do sił coraz więcej oceniać się uczyła niewyczerpaną dobroć męża; w miarę odzyskiwanej równowagi nerwów przekonywała się, jak nieznośną być musiała w fazie rozstroju nerwowego. Wyrazy miłości plotą się też w jej listach z wyrazami najgłębszej dla męża wdzięczności, z

pokornym prawie uznaniem tej moralnej wyższości, której przewadze radośnie się teraz podda... Poddała jej się też istotnie tak szczerze, tak zupełnie, że dalsze ich pożycie — całe trzy lata prawie! — było jednym niezakłóconym dniem szczęścia. Dostroila się do wtóru z jego myślą i stała mu się wszystkim, czym mieć ją marzył i pragnął...

Od chwili owego powrotu nie rozłączali się już wcale. Rozłączyła ich dopiero... śmierć! Nie rozłączyła jednak — bo oto życie wdowy upływa na mogile męża, bez którego życia dla niej nie ma!

Ale cóż to? Pod jej listami inne jeszcze jakieś leżą? Jest ich nawet spora paczka, czystym papierem owinięta, wstążeczką starannie obwiązana, opatrzona datą roku, który się zaczął jej chorobą, a podróżą zakończył.

Pani Michalina z pewną ciekawością, bez najmniejszego jednak podejrzenia paczkę ową rozwija, ale zaledwie na pierwszy list okiem rzuciła, krew gwałtownie uderza jej do głowy...

W oczach mienić jej się chyba musi?

Drobnym, nieznanym jej pismem kobiecym stoi skreślony tam nagłówek: *Cher aimé Lion adoré!*

Ze zbladłymi ustami, z rozognionymi oczyma czyta Michalina jeden za drugim te listy, na których każdej stronnicy spotyka podobne temu wyrażenia. Wszystkie pisane po francusku, wszystkie pochodzą z epoki pobytu jej za granicą, wszystkie dyszą wyrazami płomiennej, bałwochwalczej prawie miłości, która o wszystkich względach zapomniawszy, ukochanemu nic

już do życzenia nie zostawiła. Na jednym z nich — najwstrzemięźliwszym — stoi podpis: Amélie Gérot na innych już tylko: AmGé.

Teraz już wie Michalina, kto jest ich autorką. Przypomina sobie jak polny konik fertyczną i chudą, iskrami z czarnych źrenic jak szmermel sypiącą Francuzkę, którą przez lat parę widywała w domu znajomych jako towarzyszkę dorastającej ich córki. Nie pierwszej to młodości była już osoba, a wątpliwa jej uroda polegała tylko na jakimś nieokiełznanym nadmiarze życia, które w niej jak wrzątek kipiało i krwistym rumieńcem na śniade biło policzki... Francuzka podziękowawszy za miejsce, znikła nie wiadomo gdzie... Dziwiono się trochę temu, potem powiedział ktoś, że umarła, a ktoś drugi zaprzeczył, mówiąc, że do kraju wróciła...

I ona to — ona! — czuła się w prawie pisać do męża Michaliny: *Lion adoré!*

Listy coraz to częstsze i dłuższe, zmieniały ton niebawem. Wybuchy miłosnych uniesień ustępowały miejsca wyrzutom czynionym obojętnemu. Żal, obawa wstydu, wymówki dla tego, który piszącą w smutne wprowadził położenie — taka już niezmienna była treść owej pseudoniezmiennej korespondencji...

„... Póki o mnie samą chodziło, mogłam się spokojnie zgodzić na to, ale nie sama już jestem... nie sama...”

„... Tak! Dobrze mi radzisz — pisała AmGé, w innym — uciekać muszę z Warszawy. Wierzę, że pragniesz tego... Gdzież jednak pojedę?”

„... Żona twoja wraca; coraz rzadziej widywać cię będę mogła teraz, kiedy coraz bardziej potrzebny mi jesteś... Nie, nie wyjadę nigdzie... nie zrobię ci tej przyjemności! Opuszczę dom poczciwych M., w którym tak spokojnie parę lat przeżyłam, zanim na swoje nieszczęście ciebie w nim spotkałam, i ukryję się tu w mieście i tutaj stale pozostanę. Nie zniosę rozłączenia z tobą... chcę, byś znał i kochał dziecię twoje, byś o matce jego zapomnieć nie mógł...”

Pod tym listem leży spora, dość pełna koperta pismem AmGé zaadresowana, w niej na wierzchu karteczka z tymi słowy:

„... Kto wie, nie powstanę może z choroby... Tyle cierpiałam, tak rozpaczałam gwałtownie, że sił do walki o życie zabraknąć mi może. Kochałam cię i nienawidziłam i mścić się chciałam na tobie. Przychodziło mi na myśl żonie twojej posłać listy, które do mnie pisywałeś... Niech cierpi! Nie cierpiałyby więcej ode mnie, a łzy jej i wymówki, zakłócony spokój domowy byłyby dla ciebie karą, dla mnie — zemstą! Ale nie! Nie zrobię tego... Żeby nawet możliwość podobnej zemsty sobie odjąć, zwracam ci wszystkie listy, jakie od ciebie otrzymałam...”

Wszystkie były w owej kopercie i chciwie rzuciła się na nie Michalina. Krótkie były i obojętne. Stosunek wywołany kaprysem zmysłów lub przelotnym serca złudzeniem, podtrzymywany wynikłymi zeń zobowiązaniami, zdawał się ciężać panu Leonowi od pierwszej chwili, kiedy się weń uwikłał lub... kto wie? — uwikłanym może został. Pozwalał się uwielbiać, ze

sposobności łatwej miłości korzystał, wyrzuty znosił, do obowiązków się przyznawał, ale widocznym było, że prędko kochać przestał...

— Nie! Nie kochał jej! — wyrzekła wreszcie Michalina, przeczytawszy całą korespondencję obojga. — Nie kochał!... Dlaczegoż więc?...

Na podobne pytanie zawsze trudno znaleźć odpowiedź kobiecie niezepsutej zetknięciem się z brudnymi stronami życia; nie znalazła jej więc Michalina, a nawet i nie szukała długo, bo jedna jeszcze czekająca ją niespodzianka pochłonęła całą jej uwagę.

Na świstku prostego papieru, niewprawnym pismem donosił ktoś panu Leonowi, że w nocy z dnia osiemnastego na dzień dziewiętnasty marca przybyła na świat dziewczynka oraz że życie matki znajduje się w niebezpieczeństwie. Żadnego nazwiska, żadnego adresu, nic, proste tylko doniesienie... Na tymże świstku dopisał pan Leon własnoręcznie: „Umarła d. dziewiętnastego marca o g. trzeciej popołudniu”.

Przypominała sobie ten dzień Michalina.

Proszeni byli na raut... Mąż o zwykłej godzinie pojechał do fabryki i stamtąd zawiadomił ją przed południem, że na obiad wrócić nie może. Wrócił po godzinie siódmej dopiero, nic jeść nie chciał, ona zauważyła, że zmęczony jest i blady. Skarżył się na ból głowy i zaproponowała mu, żeby zostali w domu. Wzbraniał się z początku, ale uległ w końcu jej namowom i przepędzili wieczór w domu.

Pan Leon leżał na kanapie z przymkniętymi oczyma. Michalina robótkę wzięwszy do ręki, usiadła

przy stoliku, na którym przyciemnionym blaskiem płonęła lampa. Od czasu do czasu troskliwie pochylała się nad nieruchomym, drzemiącym, jak przypuszczała mężem, który sięgał wtedy po jej rękę i nie otwierając oczu, przyciskał ją do ust długim, milczącym pocałunkiem.

Jeszcze jedną znalazła Michalina karteczkę. Adres „ulica Mokotowska, nr... Marianna Walczak”. Pisane to być musiało niedawno, bo papier, na którym stoją powyższe wyrazy, jest tego samego gatunku i koloru, co papier notatnika rozpoczętego w pierwszych dniach roku. Notatnik ten przed godziną miała w ręku; teraz znowu sięga po niego i kartkę po kartce przesuwając, znajduje w nim tenże sam adres z dopiskiem liter „L. G.” i wzmianką „d. 6/2 dano rs. 50”.

Do późnego wieczora siedziała pani Michalina przy biurku męża, potem całą noc oka zmrużyć nie mogła. Oстрыm i dojmującym bólem przeszyte jej serce wzbierało oburzeniem i gniewem, to znów tajało żalem i litością. Nad kim jednak? Czy nad sobą — zdradzoną małżonką? Czy nad dziecieniem sierotą? Czy nad tymi... którzy je sierotą zostawili?

Jak w sercu sprzeczne uczucia, tak w głowie najsprzeczniejsze krzyżowały się myśli. Gwałtowne wzruszenie wyrwało ją z zakłętego koła codziennych wrażeń, zmusiło ją do myślenia... Trudna to była praca dla kobiety jednostajnością wzruszeń od badania siebie odwykłej, odrętwieniem rozpaczy rozleniwiałej, dla kobiety, której całe życie wewnętrzne streszczało się w

tej jednej, na dnie serca nieustannie szemrzącej skardze: „Nie ma cię, Lewku, szczęście moje!”.

Nazajutrz od samego rana świeciło słońce jesienne i przypuszczać też należało, że pani Michalina, korzystając z pogody, wcześniej wybierze się z domu, by do ogrodnika, a potem na Powązki pojechać. Nie pojechała jednak ani tego dnia, ani następnych. Konie jej nie opuszczały stajni.

Pani Michalina nie siedziała przecież w domu. Owszem, często i na długo wychodziła i zdawała się mocno zajęta... Nikt wszakże nie wiedział o celu jej wycieczek...

Pewnego dnia wreszcie przyniesiono za nią z miasta dziecięce łóżeczko oraz różne inne sprzęty do dziecięcego pokoju potrzebne. Pani Michalina kazała je ustawić w pokoiku oddzielającym jej sypialnię od gabinetu męża i oświadczyła, że od jutra przybywa i chować się u niej będzie dziecko jej kuzynki. To samo powtórzyła znajomym...

W wilię Wszystkich Świętych wniosła się do mieszkania pani Michaliny niemłoda już, przyzwoicie wyglądająca niańka... Nazajutrz młoda wdowa piechotą wyszedłszy z domu, wróciła koło południa doróżką, przywiozła z sobą trzyletnią blisko, niewyraźnie jeszcze szczebioczącą dziewczynkę, której czarne oczy sypały iskrami, a śniada pociągła twarzą nieswojskiego była typu... W uśmiechu tylko miała Leonka szczerą, słowiańską słodycz i uśmiechem tym przypominała kogoś...

— Jakby, nie przymierzając, pana nieboszczyka — mówił stary Ludwik, od kawalerskich jeszcze czasów służący pana Leona.

— Et, gadacie, panie Ludwiku! — odcięła fertyczna pokojówka — skąd dziecko ma przypominać pana, kiedy pani mówi, że to paninej kuzynki córeczka?

Dziecko zrazu wylekłe widokiem obcych twarzy, wnet jednak oswoiło się z niańką, a pani Michalina tak była zajęta nowymi domownicami, iż wcale nie miała czasu porozumieć się z ogrodnikiem w kwestii przystrojenia grobu.

Rano tylko w Dzień Zaduszny pojechała na Powązki, ustawiła na grobie tyle lampek, ile ich przyzwoitość wymaga, ułożyła wśród nich kilka wieńców przed bramą cmentarną kupionych i załatwiwszy się z tą obowiązkową daniną, czym prędzej powróciła do domu.

Zdziwiły się też znajome jej i przyjaciółki, popołudniu dnia tego w świeżych strojach jesiennych zwyczajową pielgrzymkę odbywające, że grób pana Leona mniej strojnie jakoś wygląda.

— To zawsze tak bywa z tymi wielkimi desperacjami — oświadczyła pobożna jakaś dusza, doczesny pobyt w ciele umilająca sobie stylowym empire kostiumem — pocieszyła się pani Myszka!

— Czym? — ktoś zagadnął.

— Trzeb aby może spytać: kim? — złośliwie poprawiła któraś.

I poszły dalej... modlić się za dusze umarłych. Z oddalenia jeszcze doleciał wyrok stanowczy:

— Zapomniała!

Grób pozostał samotny i cichy, a samotności tej i ciszy nic całą zimę nie przerwało, bo pani Michalina przestała jeździć codziennie na Powązki i z wiosennym dopiero słońcem pojawiła się tutaj.

Towarzyszyła jej Leonka, która czepiając się wdowiej sukni żałobnej, dotąd przez panią Michalinę niezdjętej, wesoło w oczy „cioci” zaglądała.

Oczy te łagodnie i z przywiązaniem patrzyły na dziecko; na ustach jednak nie było uśmiechu.

Nie jęczały już jak dawniej żałośnie: „Nie ma cię Lewku, szczęście moje”, czasem tylko z goryczą szepnęły: „O, szczęście...”

Uspokoila się widocznie pani Michalina.

Zapomniała!...

Nie wiadomo tylko czego: miłości swej dla męża, czy... urazy?...

Teresa Prażmowska
Czego zapomniała

Redakcja: *Anna Oldak, Hanna Milewska*

Projekt okładki:
STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA

Copyright © for the e-book edition
by FUNDACJA FESTINALENTE 2013

Warszawa 2013

ISBN 978-83-7904-321-7

Fundacja Festina Lente
ul. Nowoursynowska 160B/7
02-776 Warszawa



FUNDACJA
FESTINALENTE

www.festina-lente.org.pl



www.chmuraczytania.pl



www.eLib.pl